№ 26.

Warszawa, dnia 19 Czerwca / 1 Lipca 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dalszy ciąg.*)

Opuściłam Marsch-End o trzeciéj po południu, a w godzinę potem dochodziłam do dróg krzyżujących się koło Whitecross, aby tam doczekać przyjścia dyliżansu. Kiedy nadszedł, poznałam tę samą karetę z któréj, w tem samem miejscu, wysiadłam niegdyś nie wiedząc gdzie się mam udać, nie mając przed sobą ani celu, ani żadnéj nadziei, pogrążona w rozpaczy, która mi się naówczas zdawała nie do uleczenia. Tą razą, wsiadłam do powozu nie potrzebując opłacić w nim miejsca całem mojem mieniem, a skoro ruszył z miejsca i potoczył się drogą wiodącą do Thornfieldu, uczułam tyle szczęścia, ile doznałam kiedyś bólu w podobnéj chwili, na temże samem miejscu.

Trzeciego dnia z rana, kiedy woźnica wyprzągłszy konie, poił je przed małą karczemką, widok okolicy całkiem odmiennéj od smutnego pustkowia z którego przybywałam, zieloność żywo-płotów przegradzających pola, faliste wzgórza urozmaicające krajobraz, wszystko to zachwycało mnie, jak zajmuje widok twarzy niegdyś znanéj ale niewidzianéj już od dawna. Zrozumiałam że cel mojéj podróży był bliski.

— Czy daleko ztąd do Thornfield-Hall? zapytałam gopodarza, który się przechadzał koło powozu.

— Idąc polami, będzie ze dwie mile.

Usłyszawszy to, wysiadłam zaraz z powozu, i zostawiwszy rzeczy w gospodzie, udałam się natychmiast we wskazaną mi stronę, uradowana że już jestem na ziemi, należącéj do dawnego mojego pana. Ale zaledwie uszłam kilkadziesiąt kroków, pierwsze uniesienie mojéj radości poczęło ustępować niepewności i trwodze.

— Któż mi zaręczy, mówiłam sobie, że on jest dotąd w Anglji? A jeśli się nawet znajduje w Thornfield, cóż mi z tego? Jeżeli owa warjatka która jest przecie jego żoną, zamieszkuje tam przy nim, czyliż mi się godzi żądać go widzieć? Ach! lepiejby może zawczasu się zawrócić!...

W każdym razie, należało przynajmniéj rozpytać się karczmarza, czy Rochester mieszkał jeszcze w Thornfield; czułam to, ale niepodobna mi było usłuchać chłodnych rad rozsądku; lękałam się odpowiedzi która mnie mogła przywieść do rozpaczy. Przedłużając niepewność, przedłużałam przynajmniéj nadzieję, która mi była życiem. Pragnęłam ujrzeć raz jeszcze, opromienione blaskiem dobroczynnéj gwiazdy, to miejsce które opuściłam kiedyś z tak dotkliwą boleścią, zasłaniając sobie oczy, zatykając uszy, pędzona i smagana biczami nieubłaganego przeznaczenia. Teraz, przyspieszałam kroku, aby je ujrzeć czem prędzéj; niekiedy, zapomniawszy się, biegłam z pośpiechem, jakbym się lękała nieprzewidzianéj przeszkody.

Pojawiły mi się wreszcie znajome gaje i rozróżniałam nawet gęstwiny zamieszkałe od sójek, których donośne głosy zwykły były przerywać w Thornfield ciszę poranną. Radość dodawała mi sił, wkrótce minęłam poorane pola i łąki, i znalazłam się pod bocznym murem dziedzińca, ale lasek zasłaniał mi jeszcze widok domu.

— Chcę ujrzeć od razu ten wspaniały zamek, pomyślałam, stanę naprzeciw, a wzrok mój spotka okna pokojów mojego Edwarda. Może go w nich ujrzę,

bo on wcześnie wstaje... może już się przechadza po ogrodzie. A gdybym go też spostrzegła!... czyż wolno by mi było pobiedz ku niemu? Ale jakże wstrzymać się od tego?... Och! szalone są moje marzenia, może on w téj właśnie chwili, spogląda na słońce wychylające się z po za Pirenejskich szczytów, albo na szumiące bałwany roztrącane przez okręt który go unosi!...

Oddając się tym rozmaitym domysłom, obeszłam mur opasujący dziedziniec i zbliżyłam się bo bramy. Znalazłam się wtedy wprost zamku, i nic mi go już nie zasłaniało. Jakież było jednak moje zdumienie, jakże straszliwa przejęła mię trwoga, kiedy w miejscu téj wspaniałéj budowy spostrzegłam tylko kupy gruzów i czerniejące zgliszcza. Nie było już śladu dachów, tylko mury sterczały, podziurawione gdzie niegdzie otworami przy których wisiały niedopalone szczątki okien. Trawniki dziedzińca pozarastały chwastem, deptały go dziś kroki pierwszego lepszego przechodnia, któremu stały otworem wspaniałe drzwi od głównéj bramy.

Dzieje Thornfieldu były wypisane jasno na tych murach popękanych od ognia. Pożar powalił dawną siedzibę Rochesterów, a musiało się to stać jeszcze w roku poprzednim, bo pomiędzy poczerniałemi kamieniami i niedopalonemi belkami, rozrosła się już była bujnie trawa i dzikie zioła. Ale czyliż zniszczenie ograniczało się na tem co widziały moje oczy? Cóż się zagrzebać mogło pod temi stosami gruzów?...

Tu oczy moje zwróciły się z trwogą ku skromnéj kaplicy, któréj samotna dzwonnica wznosiła się jeszcze naprzeciw pogorzeliska zamku i zapytałam siebie, czy pan mój nie spoczywał już w jéj grobach obok swojego prapradziada Damera Rochester, słynnego rycerza z pod Marston-Moor.

XXV.

Pragnąc jak najprędzéj dowiedzieć się czegóś pewnego, wróciłam spiesznie do niedawno opuszczonéj gospody, i poprosiwszy oberżystę do mojego pokoju, zapytałam z trwogą od któréj słowa zamierały na moich ustach.

— Znasz pan zapewne Thornfield-Hall?

— Jakżebym go nie znał? byłem tam przez lat kilka piwniczym u nieboszczyka pana Rochestera.

Na te słowa, struchlałam...

— U nieboszczyka, powtórzyłam... więc... umarł?

— O nie, pani, mówię o ojcu pana Edwarda, dzisiejszego dziedzica.

Odetchnęłam... odtąd mogłam wszystko usłyszeć.

— Czy teraźniejszy właściciel Thornfieldu mieszszka tam zawsze? zapytałam, usiłując nadać moim słowom pozór pytania zupełnie obojętnego.

— Widzę że pani przybywa z daleka, skoro nie wie że się Thornfield spalił do szczętu zeszłéj jesieni. Ogień wybuchł w nocy, a zanim straż ogniowa zdołała przybyć z Millcote, już cały zamek był w płomieniach. Cóż to był za okropny widok! patrzałem na to pani, i serce we mnie drętwiało...

— W nocy? pomyślałam... tak, to musiało stać się w nocy. Noc była zawsze straszną dla mieszkańców Thornfieldu. Czy jednak, dodałam głośno, nic nie dowiedziano się o przyczynach tego nieszczęścia?

— Wszystko się skończyło na domysłach, łaskawa pani, odpowiedział poczciwy oberżysta, zniżając coraz głos, jakby się lękał być podsłuchanym. Była gdzieś schowana w zamku jakaś pani, podobno warjatka... nikt jéj nie widywał, nie wiedziano o niéj nic pewnego. Mówiono że ją pan Edward przywiózł gdzieś zdaleka, uchodziła za jego kochankę... wreszcie odkryło się że była jego żoną, a to dziwnym sposobem... z powodu młodéj nauczycielki w któréj się szalenie zakochał pan Rochester, tak jak się to zdarza ludziom jego wieku, kiedy się przywiążą do młodéj dziewczyny. Otóż tedy...

Tu przerwałam opowiadanie chcąc zwrócić rozmowę do samego zdarzenia pożaru i zapytałam, czy obłąkana była istotnie jego sprawczynią?

— Ona sama, najniezawodniéj, pilnowała jéj poczciwa kobieta zwana Gracja Poole, bardzo wierna i obeznana ze swoim obowiązkiem, ale miała jedną wadę... lubiła wódkę i pijała niekiedy za wiele; w tym razie ta wada była bardzo niebezpieczna, ilekroć bowiem panią Poole zmorzył sen przy butelce, przebiegła warjatka wyjmowała jéj klucze z kieszeni, wychodziła po cichu z pokoju i włóczyła się po domu, wyrabiając różne psoty. Téj tedy nocy, zaczęła od zapalenia firanek w sąsiednim pokoju, potem zszedłszy na dół, weszła do pokoju będącego niegdyś mieszkaniem młodéj nauczycielki o któréj pani wspomniałem, i tam... może skutkiem zazdrości, gdyż, jak powiadają, domyślała się czegóś... zapaliła łóżko, w którem, na szczęście, nie było nikogo, gdyż nauczycielka już od dwóch miesięcy przepadła bez śladu. Trzeba przyznać że pan Rochester nie szczędził starań aby ją odszukać; od jéj wyjazdu, ten biedny pan żył jak prawdziwy pustelnik, poodprawiał całą prawie służbę, oddalił nawet krewnę, która dotąd zarządzała domem i oddał na pensję małą swoją córkę. Miano go za obłąkanego i podobno w istocie bywał chwilami niebezpieczny...

— Cóż więc daléj z pożarem? mów pan, proszę.

— Prawda... więc wracam do niego... Otóż kiedy ogień wybuchnął, pan Rochester...

— Więc był wtedy w zamku?

— A jakże? nawet pobiegł zaraz na górę, zbudził służących, pomógł im sam zejść na dół i chciał potem wyprowadzić żonę z pokoju, w którym była zawsze zamknięta. Ale w tem zawołano z dołu że już była na dachu, i w rzeczy saméj widziano ją tam jak stała, machając rękami z krzykiem który pewnie słychać było o milę. Ja sam, pani, widziałem ją własnemi oczami... Była to potężna kobieta z długiemi czarnemi włosami, które wiatr porozrzucał, straszna, niby widmo jakie. Widzieliśmy wtedy jak pan Rochester wyszedł na dach i jak zawołał głośno: Berto! Potem zbliżył się do niéj... wtedy krzyknęła głosem przeraźliwym podobnym do wycia dzikiego zwierzęcia, skoczyła,—i w mgnieniu oka ciało jéj leżało z druzgotane i martwe na bruku dziedzińca.

— Martwe? zawołałam.

— Martwe, pani, jak te kamienie zbryzgane jéj krwią i mózgiem. Ach! to był straszliwy widok, wierzaj mi pani, drżę jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie téj chwili.

— A cóż się z nim stało? zawołałam; mów że pan dalej!

— Z zamkiem? spalił się do szczętu, i nie pozostały z niego jak resztki murów na w pół zniszczonych i kupy poczerniałych gruzów.

— Mówiłeś mi pan, że pan Rochester nie utracił życia?

— Nie, ale niewiele mu z tem lepiéj.

— Dla czego? co pan chcesz powiedzieć? Czy on jest teraz w Anglji?

Krew mi zastygała znowu w żyłach.

— Czy jest w Anglii? O ręczę pani że się z niéj więcéj nie ruszy.

Przechodziłam przez męki konania, a człowiek ten zdawał się przedłużać z upodobaniem moje udręczenie.

— Stracił wzrok, dodał nareszcie. Jest niewidomy. Takie dziś życie pana Edwarda.

Moja myśl zabiegła była daléj jeszcze. Lękałam się czy nie był obłąkany. Ale teraz znalazłam już w sobie dosyć odwagi, aby zapytać o bliższe szczegóły całego wypadku.

Wszystkiego powodem stała się jego odwaga i szlachetność, mówił daléj oberżysta. Upierał się wyjść z zamku ostatni i podczas gdy schodził wielkiemi schodami, zawalił się sufit. Szczęściem, belka zatrzymała się padając na poręczy i to go cokolwiek ochroniło; jednak, wybiła mu oko i zdruzgotała rękę tak okropnie że doktór Carter musiał ją odciąć. Drugiemu oku udzieliło się w krótce zapalenie i nie można go też było ocalić. Tak tedy, biedny pan Edward jest dziś ociemniały i z jedną tylko ręką.

— Gdzież mieszka?

— W Ferndean-Manor, w jednéj ze swych posiadłości, o jakie trzydzieści mil ztąd. Smutne to mieszkanie, moja pani.

— Czy jest tu jaki powóz do najęcia?

— Mamy kryty wózek parokonny.

— A woźnica?

— Mój chłopiec panią powiezie.

— Niech natychmiast zaprzęga, a jeśli mnie dowiezie do Ferndean przed nocą, zapłacę cenę podwójną od umówionéj.

Nieraz wspominał przedemną Rochester o Ferndean-Manor. Był to mały domek staroświecki, zewsząd otoczony lasami, nabył go ojciec Edwarda ze względu na obfitującą w lasach okolicznych zwierzynę. Ponieważ nie podobna było mieszkać stale w tem miejscu smutnem i niezdrowem, dom pozostał całkiem opuszczony i zaniedbany, z wyjątkiem kilku pokoi starannie utrzymywanych i służących za mieszkanie dla właściciela, kiedy przybywał do Ferndean na parę tygodni, w porze polowania. O milę prawie od téj samotnéj siedziby wysiadłam i odprawiłam powóz, chciałam bowiem przybyć niespostrzeżona.

Niebo było pochmurne i zimny wicher przejmował mię aż do kości. Szłam niejaki czas pod cieniem gęstych drzew chroniących mię nieco od drobnego deszczu, którego szmer jednostajny słyszałam po nad moją głową. Nie mogłam zrazu odkryć wejścia do tego odludnego ustronia, ale nareszcie doszłam do żelaznéj kraty wprawionéj w słupy z granitu, zamykającéj wązką ulicę wysadzaną we dwa rzędy drzew, których gałęzie splatały się z sobą bezwładnie. Ciemna ta ulica zdawała się przedłużać przedemną i daremnie spodziewałam się, za każdym jéj zakrętem ujrzeć dom przed sobą. Pomyślałam wreszcie żem zabłądziła i chciałam się już zawrócić, kiedy drzewa poczęły się przerzedzać i spostrzegłam drugą bramę, a za nią i sam dom, zaledwie dający się odróżnić od drzew, tak dalece mury jego zielonawe od wilgoci mięszały się z barwą liści i pni mchem porosłych.

Minąwszy bramę, znalazłam się na pół kólistym dziedzińcu, zarosłym murawą. Nie było tam krzewów ani kwiatów tylko w około ulica piaskiem wysypana. Facyata miała wązkie okna z kratami i szybami w ołów oprawionemi. Drzwi także były wązkie, i zdawało się jakby nigdy nie bywały otwierane, a próg ich był prawie na równi z ziemią. Jednem słowem, oberżysta miał zupełną słuszność zapewniając, że to było smutne pomieszkanie. Ciemny las opasujący zewsząd milczące mury, uzupełniał ów posępny obraz, tworząc w koło niego ramy całkiem stosowne.

— Czyliż może być aby ten grób mieścił w sobie ludzi żyjących? zapytywałam siebie przerażona.

Ale w téj chwili życie objawiło się lekkim szmerem przerywającym ciszę, która mnie otaczała. Wązkie drzwi poruszyły się na zawiasach i otwarły z wolna. Na progu ukazała się postać niewyraźnie oświetlona gasnącemi blaskami zachodu. Rozpoznałam mężczyznę z odkrytą głową, który wyciągał rękę przed siebie, jakby chciał się dowiedzieć czy deszcz padał. Chociaż mrok był już prawie całkiem zapadł i wzruszenie zaciemniało mi wzrok, nie potrzebowałam i chwili aby poznać w tym człowieku nieszczęśliwego Rochestera. Zrazu, chciałam się przed nim ukryć, ale przypomniałam sobie niebawem, że mu i tak byłam niewidzialną. Pozostałam więc w miejscu, wstrzymując oddech i wypatrując chciwie, jakie mogły zajść zmiany w całéj jego osobie odkąd go opuściłam.

Granitowe to ciało pozostało jednakowe. Nie rok to jeden, choćby i rok męczarni, mógł zmienić te rysy tak silnie wyciosane, osłabić tak wielką potęgę, zużyć taką pełnię życia. Cierpienie nie zdołały dotąd pochylić owéj okazałéj postaci, ani nawet oprószyć szronem tych włosów mających czarność i połysk kruczego skrzydła. Jedyna zmiana polegała tu na wyrazie twarzy, wypowiadającym dzisiaj ostateczną rozpacz, było w niéj coś z ponurego smutku dzikiego zwierza, który uwięziony i bezwładny, zagraża jeszcze straszliwym wybuchem, każdemu coby się poważył drażnić jego cierpienie natrętną ciekawością. Niby orzeł trzymany w klatce, odkąd jego bystre oczy wyłupiła ręka okrutna; takim mi się dzisiaj przedstawiał ów ociemniały Samson...

A przecie, ta twarz tak ponura, nie wzbudzała we mnie żadnéj obawy i wszystkie moje myśli wybiegały tylko naprzeciw chwili w któréj, rozjaśni się to groźne czoło i uśmiech zabłyśnie na tych zaciśniętych ustach. Ale potrzeba mi było jeszcze cierpliwości.

Rochester przestąpił próg i szedł ku murawie krokiem wolnym i niepewnym. O Boże! gdzież się podziały owe ruchy śmiałe i szlachetne, które go kiedyś cechowały? Zatrzymał się niebawem, znać nie wiedząc w którą miał iść stronę. Zbliżył rękę do oczu, i zdawał się wpatrywać z wysileniem, to w niebo, to znowu w pobliskie lasy, nie umiejąc odróżnić gasnącego już blasku zachodu od zupełnéj ciemności. Wy-

ciągnął prawą rękę, lewę zaś, czyli raczéj to co mu z niéj pozostało, trzymał schowaną w zanadrzu, ale dłoń jego napotkała tylko próżnię, gdyż najbliższe drzewa były jeszcze o jakie kilka kroków oddalone. Zaprzestając wtedy daremnych usiłowań, opuścił rękę i pozostał całkiem nieruchomy i milczący, nie zdając się czuć kropel deszczu, które spadały na jego obnażone czoło.

W téj chwili wyszedł z poblizkiéj chatki stary służący Jan, który, jak mi powiadał oberżysta, składał ze swoją żoną Marją całą dworską służbę. Zbliżył się do swojego pana, nie widząc mnie, i podał mu rękę aby go do domu odprowadzić.

— Wróć pan, rzekł, deszcz się wzmaga.

— Daj mi pokój i idź sobie.

Taka była odpowiedź jaką otrzymał, zaraz się też oddalił, ale pozostał w pobliżu, gotów na pierwsze wezwanie. Nie doczekał się go wcale, Rochester probował znowu postąpić naprzód, ale straciwszy zapewne nadzieję odszukania drogi, zawrócił się trafił do drzwi z niejaką trudnością, i wszedłszy, zatrzasnął je za sobą.

Po chwili i ja się do nich zbliżyłam. Skoro zastukałam, służąca przyszła mi otworzyć i o mało nie krzyknęła ze zdziwienia, gdy mnie po głosie poznała. Wytłomaczyłam w kilku słowach, tak jéj jak i staremu Janowi, który właśnie nadszedł, że zostałam zawiadomioną o wszystkiem co zaszło w Thornfield od mojego wyjazdu. Prosiłam Jana, aby poszedł po moje rzeczy które zostawiłam w poblizkiem domku drożnika, i wzięłam się do obmyślenia wspólnie z Marją środków przepędzenia nocy w Ferndean-Manor, co nie było rzeczą tak łatwą.

W téj chwili, dał się słyszeć z pokoju Rochestera odgłos dzwonka.

— Ponieważ idziesz do pana, rzekłam do Marji, powiedz mu że jakaś osoba nieznajoma chce się znim widzieć; ale nie mów mojego nazwiska.

Wróciła wkrótce; Rochester nie chciał mię przyjąć, nie wiedząc kim jestem i czego żądam. Powtórzywszy mi tę odpowiedź, Marja zabrała się do ustawiania na tacy szklanki z wodą i lichtarzy z zapalonemi świecami.

— Czy jemu to chcesz zanieść? spytałam.

— Tak jest, musi mieć zawsze światło w pokoju, skoro się tylko ściemni. Czyż to nie dziwne zachcenie u ociemniałego?

— Daj mi tacę, rzekłam, sama ją zaniosę.

Wzięłam ją, ale ręce mi drżały do tego stopnia że część wody się rozlała, a serce biło we mnie jakby wszystka krew się w nim zebrała. Pokój Rochestera miał postać ponurą. On sam siedział zamyślony przed obszernym kominem o szerokim łuku gotyckim, a głowę jego zwieszoną oświetlały czerwonawe odblaski dopalających się węgli. Dawny mój znajomy, Sternik, leżał w kącie, zwinięty w kłębek; na mój widok, począł potrząsać uszami, ruszać ogonem, przybiegł do mnie, radując się po dawnemu, i o mało mi tacy z rąk nie wytrącił, skacząc w koło mnie. Słysząc ten hałas, Rochester odwrócił mimowolnie głowę, jakby zapomniawszy o swojem kalectwie, chciał zobaczyć co się stało. Ale zaraz odwrócił się znowu do ognia i westchnął głęboko.

Podaj mi wodę, Marjo, rzekł po chwili.

Kiedy brałam szklankę aby mu ją dać w rękę, Sternik chciał znowu na mnie skoczyć, wówczas, zawołałam niecierpliwie, zapomniawszy się:

— Leżeć, Sternik!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZATARGI O POMORZE

WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA Z KRZYŻAKAMI.

(Dalszy ciąg).

Wszystkie te czynności Krzyżaków i kupowania praw do Pomorza, nie tajne były Łokietkowi, ale zanadto był zajęty sprawami wewnętrznemi państwa, i pracą nad nadaniem tyle mu koniecznéj spoistości, żeby mógł tym nieprawym czynom zapobiedz przemocą. Gdy więc krzyżacy zaopatrzeni w rozmaite dokumenta, zażądali porozumienia się z Łokietkiem, pewni że przejęty ich ważnością, a szczególniéj zatwierdzeniem cesarskiem, zaniecha domagań się Pomorza i odstąpi go prawie bezpornie a przynajmniéj byle czem da się zaspokoić, Łokietek chętnie przyjął wezwanie i w tym celu r. 1311 zjechał do Brześcia Kujawskiego położonego nad Zgłowiączką i bagnami, już wówczas posiadającego murowaną Farę i kościół Dominikański.

Krzyżacy przejęci ważnością posiadania Pomorza i zaszedłszy w matactwach tak daleko, postanowili użyć wszelkich środków, nie szczędzić żadnych ofiar, aby tylko raz posiąść kraj zakwestjonowany. W tym celu oświadczyli Łokietkowi, że w zamian za Pomorze, wypłacą mu pewną summę, ustąpią niektórych dóbr w Kujawach darowanych im przez ojca Łokietka, Konrada księcia Mazowsza i Kujaw i dostarczą na każde wezwanie 40-stu kopiejników. Znając zaś pobożność Łokietka, jakkolwiek nie głośną i hałaśliwą, ale szczerą pełną wiary, znamienującą charakter tego króla, przyrzekali jeszcze obłudnie wybudowanie klasztoru, i obsadzenie go zakonnikami jedynie w celu modlenia się za niego. Na przedstawienia takie Łokietek oburzył się niewymownie, i wyrzucając im niewdzięczność za dobrodziejstwa doznane od jego ojca Konrada, oświadczył że wszelkie układy zrywa, a wrazie nieustąpienia z Pomorza, zagroził pozwem do stolicy apostolskiéj.

Naiwnéj téj ufności w moc pozwu i wyroku mającego być wydanym, Krzyżacy nieulękli się nawet na chwilę, zwłaszcza że Łokietek po zerwaniu układów nie mógł wystąpić z siłą orężną. Zaprzątnęły go bowiem roszczenia króla Czeskiego do korony i zbrojne w tym celu wystąpienie, i rozruchy w Krakowie z powodu zwiększenia podatków. Wójt bowiem miasta Albert spiknąwszy się z biskupem Krakowskim Muskatą i wielu bogatszemi mieszczanami, wystąpił przeciw Łokietkowi wzywając na tron Władysława księcia Opolskiego, który natychmiast ze zbrojnym orszakiem nie omieszkał przybyć do stolicy. Ponie-

waż załoga zamkowa wierną pozostała, Łokietek zatem przybywszy do Krakowa zmusił najprzód Opolczyka do ucieczki, ukarał winnych, odebrał mieszczanom prawo obierania rajców i przyznał takowe województwu Krakowskiemu, z tem zastrzeżeniem, aby corocznie mianując ośmiu cnotliwych krajowców, w czynności ich pilnie wglądał.

Krzyżacy korzystając z tego zajęcia się Łokietka to Czechami to Krakowem, rzucili się na Gdańsk. Pomimo kilkodniowéj obrony, opanowali jedną z bram i wpadłszy nią do miasta wielką rzeź sprawili. Posunęli się następnie pod Tczew, leżący nad Wisłą o cztery mile od Gdańska, broniony przez synowca Łokietka Kazimierza. Ten widząc słabość warowni, brak zapasów żywności i niedostateczność siły zbrojnéj, ujrzawszy zbliżające się zastępy krzyżackie, wyszedł na przeciw nim w celu skłonienia do zaniechania przedsięwzięcia. Wielki mistrz odrzucił żądanie i oświadczywszy, że może tylko zezwolić na wyjście załogi, zaprosił Kazimierza na obiad do obozu. Kazimierz pragnąc zaskarbić sobie względy Wielkiego mistrza, przyjął chętnie zaproszenie, ale gdy przyjmowany gościnnie, cieszył się składanemi mu honorami, wojsko tymczasem Krzyżackie, Tczew dokoła otoczyło, zamykając wszystkie drogi gromadzące do niego tak dalece, że Kazimierzowi powrót stał się już niepodobnym. Na zaniesioną o to skargę, Wielki mistrz ujął się za rękojeść miecza i odrzekł:

„Nie dlatego zebrałem tak wielkie wojsko, iżbym miał stać z założonemi rękami, ale żebym wojował. Oręża nie złożę dopóki nie podbiję całego Pomorza. Książe Kazimierz sam wyszedł z Tczewa niepytając się mnie o drogę, niechże wraca własnym swym rozumem. Przyrzekłem bezpieczeństwo jego osoby, i za nią odpowiadam, ale nie przyrzekłem być przewodnikiem ani skazodrogiem.“

Po takiéj odpowiedzi nie było co robić, Kazimierz więc oddał Tczew Krzyżakom a sam z załogą poszedł do Święca, miasteczka położonego przy ujściu rzeki Czarny do Wisły, bronionego przez jego brata Przemysława. Krzyżacy posuwając się ciągle naprzód w swéj zdobyczy, zajęli Chojnice, Nowe i inne mniejsze zamki Pomorza, wreszcie oblegli Świecie, jedyne miasto jakie pozostało w ręku Łokietka, a przytem pierwsze miejsce trzymające po Gdańsku. Ponieważ tu zgromadziły się wszystkie siły jakie były rozrzucone w całym Pomorzu i fortyfikacje znacznie były mocniejsze niż innych podobnych miejsc obronnych, zdobycie zatem Świecia nie było łatwem, a w każdym razie dozwalało dłuższego w nim trzymania się i doczekania spodziewanych od Łokietka posiłków. Znał to dobrze Wielki mistrz, a pragnąc ostatnie to miejsce dostać jak najprędzéj, aby się jak najsilniéj ugruntować w zdobytem Pomorzu i przygotować na spodziewaną wojnę, przypuścił kilka szturmów, ale zawsze daremnych, chociaż umiejętnie prowadzonych i dokonanych z wielką odwagą. Po siedmdziesięciu jednak dniach gdy spodziewana pomoc nie nadchodziła, Kazimierz z Przemysławem widząc niepodobieństwo dalszego trzymania się w oblężonem mieście, oddali twierdze Krzyżakom, a sami z wojskiem i pakunkami wyruszyli do kraju. Tak więc Krzyżacy zostali panami obu brzegów Wisły, zacząwszy od Mazowsza aż do ujścia jéj do Baltyku i części Pomorza kupionéj od margrabiów Brandeburskich. Utwierdzając się daléj w téj zdobyczy, zakupili od Leszka synowca Łokietka ziemię Michałowską, a pragnąc Gdańsk wzmocnić i zwiększyć, około kościoła St. Dominika założyli drugie miasto zwane Nowem.

Pomimo tak niepomyślnego obrotu sprawy tyle ważnéj dla Łokietka, czynnie jednak wdawać się w nią jeszcze nie mógł, tylko korzystając z powszechnego oburzenia, wysłał do Papieża Jana XXII poselstwo, mieszkającego wówczas w Awinionie, z zaskarżeniem zakonu o zabór Pomorza i o uzyskanie pozwolenia na własną koronację. Ponieważ sprawa była nader jasna, a nieprawne postępowanie Krzyżaków widoczne, poselstwo zatem bardzo dobrze zostało przyjęte, ale dopóty, dopóki od Krzyżaków nie przypłynęło złoto i podarunki, któremi ujęci kardynałowie, zrobili to, że papież nie udzielił pozwolenia na koronacją, a co do sprawy Pomorza oświadczył, że się w niéj bliżéj musi rozpatrzyć. Mimo tego Łokietek koronował się dnia 20 Stycznia 1319 roku w Krakowie, a papież niebawem wyznaczył kommisję do rozsądzenia sporów, która skazała wyrokiem swym Krzyżaków na zwrot Pomorza, zapłacenie 30,000 grzywien wynagrodzenia i 150 grzywien kosztów sądowych. Zadosyć uczynienie wyrokowi nakazane było pod klątwą, mimo tego, Krzyżacy mieniąc go stronnym i przeciwnym sprawiedliwości, nie przyjęli go, odwołali się do stolicy apostolskiéj, i ta poleciła nowe sprawy rozpoznanie.

W ciągu tego sporu z Krzyżakami, Łokietek szukając stosunku z ościennemi władcami, córkę swą Elżbietę wydał za Karola Roberta króla Węgierskiego, a syna Kazimierza ożenił z Aldoną córką Gedymina wielkiego księcia Litewskiego. Naród przyjął związki z niezmierną rodością, bo nie tylko że wrazie wojny zapewniały pomoc zbrojną, ale nadto wracały do domu, wszystkich jeńców i brańców polskich trzymanych na Litwie, których Gedymin córce swéj w posagu ofiarował. Głównym zaś powodem tych związków byli Krzyżacy, a raczéj chęć wzmocnienia się przeciw zakonowi coraz więcéj rosnącemu w siłę, i nietającemu zupełnie chęci roszczenia posiadłości swych, przez wdzieranie się w granicę Polski i zawojowanie Żmudzi i Litwy jako pogańskiéj. Dla oddalonych Węgier korzyści ze związku małżeńskiego mniéj były widoczne, ale dla Łokietka i Gedymina nieobliczone, bo nietylko zdwajały ich siły, niszcząc wszelkie dawniejsze waśnie zwykle orężem rozstrzygane, ale rozwojowi dalszéj potędze krzyżaków, kładły zupełną tamę. Gdy więc wszelkie zabiegi o odzyskanie Pomorza na drodze układów pokojowych spełzły na niczem, a tajemne knowania zakonu nie ustawały, i skłoniły na jego korzyść już nawet Wacława księcia Mazowieckiego, Łokietek postanowił użyć oręża, i działać stanowczo na złamanie potęgi tyle groźnéj i niebezpiecznéj. W połączeniu zatem z zastępami Gedymina, najprzód upokorzył Wacława księcia Mazowieckiego, a następnie wpadł roku 1326 do margrabstwa brandeburskiego, największego sprzymierzeńca zakonu i mającego wszystko na jego usługi. Ponieważ wystąpienie to było zupełnie niespodziewane, Łokietek przeto niszcząc załogi i warowne miejsca posuwał się ciągle naprzód, i zapędziwszy się aż pod Frankfurt z ogniem i mieczem jak to wówczas przyjętym było zwyczajem, część kraju położonego z téj strony Drawy, przywrócił pod swoją władzę. Krzyżacy ze skargą wystąpili

przed całą Europą, dowodząc, że Łokietek z narodem swym, w największem pogrążony barbarzyństwie, przez łączenie się z poganami wielkiem zagraża niebezpieczeństwem, że w łączeniu się takiem przedstawia siłę bardzo groźną jakiéj sama potęga zakonu niezmoże, i że wreszcie potrzeba wysiłku całego chrześcjaństwa, aby z téj strony być pewnym od wylewu zbrojnego pogaństwa. Nie poprzestając na tem, Krzyżacy w odwecie za napad Łokietka, w następnym zaraz roku wkroczyli na Kujawy, szerząc wszędzie najokropniejsze spustoszenie. Była to za ciężka krzywda dla dzielnego umysłem Łokietka, aby miał ją puścić płazem. Przysposobiwszy się zatem w zbrojne szeregi i wzmocniwszy posiłkowemi rotami z Węgier i Gedymina, wpadł znowu w następnym roku 1328 do ziemi Chełmińskiéj, a gdy Krzyżacy połączeni z Wacławem księciem Mazowieckim wkroczyli na Kujawy zadał im najzupełniejszą klęskę, i byłby stanowczo ich upokorzył, gdyby nie wdanie się stolicy apostolskiéj polecającéj Łokietkowi zawarcie ugody.

W owym bowiem czasie krzyżowe wyprawy przeciw poganom, w celu nawracania ich do wiary chrześcjańskiéj, zajmowały całą niemal Europę, i gdy za namową papieży, gorliwsi spieszyli przeciw Turkom, inni podążali ku krzyżakom, wojujących niby w imię Krzyża Żmudź, Litwę i Prusaków. Zakon pod okrywką praw ewangielicznych, kryjąc własne widoki, korzystał bardzo z tego zapału religijnego, i ściągając najpierwszych wojowników pod swoje chorągwie, udaną gorliwością religijną jednał sobie papieży, głosząc się zawsze najposłuszniejszym synem kościoła. Jeżeli zaś czynami stawał z tem w sprzeczności, to umiał zawsze wykrętami i pieniędzmi wytłómaczyć się i przerobić wszystko na swoją korzyść. Łokietek inną szedł drogą, szczerą, otwartą, a potwarze odpierał milczeniem; nieprzypuszczając zatem matactwa, zawarł z Krzyżakami roczne zawieszenie broni i tem popełnił wielki błąd, jaki się okaże wybitniéj w rozwoju dalszych wypadków.

(d. n.)

Kronika zagraniczna.

Do pierwszorzędnych literatur tegoczesnych należy niezaprzeczenie literatura niemiecka. Postacie takie jak Lessyng, Herder, Gete, Szyller i Hejne pozostaną na zawsze gwiazdami tryumfu duchowéj potęgi narodów. Piśmiennictwo niemieckie, poczęte (jak wszystkie inne) w świecie młodzieńczych marzeń nie cofało się prawie nigdy, ale płynęło niewstrzymanym biegiem, utrzymując ciągłe związki z postępem czasu i narodu. Jest tam jeszcze jakaś czynna siła, co nie próżnuje nigdy, ale pobudza nieustannie do postępu i rozwoju, ogrzewając ciepłem swych promieni wszystkie warstwy i stany społeczeństwa niemieckiego.

Przyroda, ta szczodra bogini wszystkich krajów i ludów, nie poskąpiła także wdzięków duchowemu światu niemieckiemu: obok głębokiéj powagi swéj ma oni barwy naiwne, i żywość młodzieńczą, i zapał szlachetny, i duszę zarówno tkliwą i smętną, rzutką i swawolną.

Są przecież widome różnice, które piśmiennictwu niemieckiemu nadają piętno wyłączności, wypływającéj z przyrodzonego usposobienia narodu lub z wpływów miejscowych. Piśmiennictwo niemieckie uzewnętrznia się najwydatniéj w trojakiéj postaci: w filozofii, w poezji dydaktyczno-lirycznéj i w poezji dramatycznéj. Najwydatniejszem atoli znamieniem jego jest ustawiczna dążność do wygórowanéj umiejętności, wciskającéj się zarówno i do filozofii i liryki i dramatu. Uporczywe stosowanie umiejętności do każdéj nieomal odrośli piśmiennictwa, wysnuwanie systematycznego wątku z najdrobniejszych nawet szczegółów, przeciągłe rozumowanie bez względu na istotę przedmiotu, wydobywanie prawd i morału zarówno z poezji jak i nauk przyrodzonych, zwracanie uwagi na filozoficzne znaczenie każdéj zosobna nauki, wszystko to czyni literaturę niemiecką osobnem niejako zjawiskiem ducha, odrębnem najzupełniéj od wszystkich innych piśmiennictw tegoczesnych.

Ponieważ ramy naszéj kroniki niepozwalają zapuszczać się w charakterystykę pojedynczych gałęzi literatury niemieckiéj, zatrzymamy się nateraz przy jéj dramacie.

Tem, czem był Kalderon w Hiszpanji, Szekspir w Anglji, Kornel i Rasyn we Francji, Krasiński i Słowacki w Polsce, tem jest dla dramatu niemieckiego Gete i Szyller. Jak dramat Kalderona (obok wiekowéj wartości i niespożytéj twórczości), ma swoje słabe strony, pojawiające się mianowicie w niedostatecznem uwydatnieniu tajników życia i zbyt hyżem rozwiązywaniu węzła dramatycznego, i jak dramat Szekspira, również wielki i w wielkości swéj niczem nieprześcigły, obraża za szalenie najchorobliwsze strony ludzkości, niedając jéj nawet spocząć na chwilę przed pościgiem samych demonów piekła i potępienia: tak znów w Getem i Szyllerze nie widać ani zbytecznéj łagodności Kalderońskiéj, ani dzikiéj rozpaczy Szekspirowskiéj, u nich zdrój pogodnych myśli łączy się z nadzieją i pociechą przed i poza grobem nawet. Gete i Szyller nie lubią ani potwornych władz ducha, ani smutnych obłąkań serca, ale i łez nie wyciskają, jak Kalderon, za lada ciosem przeznaczenia. Charaktery ich są butne, ale nie demoniczne, wzniosłe, ale nie dzikie: nie spożerają się same przez się jak u Szekspira, ale skon ich jest zadosyć uczynieniem prawdzie ludzkościowéj, jednoczącéj nas z niebem wtenczas nawet, kiedy dusze nasze ogarnia wrogi rozbrat z niebem i ziemią.

Nie twierdzimy jeknakże, iżby dramata Getego i Szyllera miały temsamem współubiegać się koniecznie o palmę pierwszeństwa z Kalderonem lub Szekspirem, lecz téj zasługi odmówić im nie można, że byli oni dla Niemiec tem, czem był Kornel i Rasyn dla Francji, tj. genialnymi wyobrazicielami potrzeb narodowych. Dramat niemiecki odpowiada najzupełniéj właściwościom narodowego charakteru; nic więc dziwnego, że Niemcy tak wielką przywiązują wagę do dramatów Getego i Szyllera, jakkolwiek jeden i drugi nie posiłkował się rodzinnemi przedmiotami, ale szukał ich raczéj poza sferami dziejów i obyczajów niemieckich. Pomimo to, dramat niemiecki, acz osnuty przeważnie na obcem tle, stał się jednakże za wpływem poetycznego geniuszu Getego i Szyllera czysto narodową własnością: na obce tło przenieśli oni wyobrażenie niemieckie, poglądy niemieckie i typy niemieckie.

Ujemną stroną dramatu niemieckiego jest brak życia, brak duszy scenicznéj. Faust, Ifigenia, Egmont Getego, a Don Karlos Szyllera pozostaną wprawdzie na zawsze arcytworami dramatycznego geniuszu, ale na scenie znika ich urok i zamiast żywych postaci widać tylko mgliste posągi wypostaciowanych idei.

Byt dzisiejszego dramatu niemieckiego nie należy do najszczęśliwszych. Nie ma wprawdzie pół-rocza w któremby dramat niemiecki nie pomnożył się o dwa lub trzy utwory sceniczne, ale zasiłek ten jest tak wątły i niedojrzały, że zamiast pożytku, ogromne wyrządza szkody w rozwoju dramatu. To pewna, że gdyby przyszłość dramatu niemieckiego zależeć miała od obecnéj chwili, niejeden z arystarchów piśmiennictwa niemieckiego zwątpiłby na zawsze o postępie sztuki i piękna.

Główne przyczyny upadku poezji dramatycznéj w Niemczech, spoczywają w niedbałości teatrów niemieckich, oddanych (z wyjątkiem kilku) posługi zysku lub koterji literackiéj. Natomiast celniejsze utwory pleśnieją po dawnemu, oczekując chwili, w któréj publiczność niemiecka otrząśnie się z materyalizmu, a dramatom poważniejszéj treści otworzy podwoje prawdziwéj zasługi i chluby.

Do poetów, których znamienite dramata były zmuszone ustąpić tuzinkowym farsom scenicznym, należy Rudolf Gotschall i o nim tu słów kilka powiedzieć zamierzamy. Z licznych dramatów jego, po dziś dzień niezaprzeczenie najlepszych, zaledwie *Pitt i Fox* i *Katarzyna Howard* znalazły przytułek na scenie wiedeńskiéj; reszta natomiast, jak *Robespierre*. *Lord Byron*, *Róża z Kaukazu*, *Dyplomaci*, *Karol XII*, pozostają z ogromną szkodą dla dramatu niemieckiego w tece autora. Z drukowanych prac Gotschalla mamy dotąd znakomitą komedję *Pitt i Fox*, osnutą na obyczajowem tle parlamentarnego życia w Anglji, i *Mazeppe*, trajedją pięcioaktową, opartą na wypadkach z ostatnich wypraw Karola XII, króla szwedzkiego.

Mazeppa Gotschalla jest zdaniem naszem, jednym z najcelniejszych utworów sceny niemieckiéj. Artystyczna wartość jego tem większa, że nietylko pod względem formy i dyalogowania, ale nawet w całym ustroju wewnętrznym wyrównywa najzupełniéj trajedjom Szyllerowskim, pod względem scenicznego układu przewyższa je nawet. Osnowa téj trajedji zaczerpnięta jest z ostatnich lat Mazeppy. Podczas kiedy Byron i Słowacki wystawili Mazeppę, jako ofiarę młodzieńczéj buty i młodzieńczych zamysłów, padającą ostatecznie pod ciosami zagadkowego fatalizmu, poeta niemiecki przedstawia nam go jako bohatera nieugiętéj, żelaznéj woli, kuszącego się nad grobem jeszcze o tron i berło krain kozackich.

Podniosłość myśli, żar uczucia, energja charakterów i siła akcji w płomienną kojarzą się tu całość. *Mazeppa* Gotschalla, to trajedja z idealizowanéj namiętności: bohater występuje tu jako olbrzymie zjawisko woli. Dziwne tajniki rozwierają się w duchu bohatera: świat zewnętrzny i cały urok jego traci znaczenie swoje w obec nieugiętéj woli zuchwałego starca: Mazeppa we własnéj zamyka się duszy, w niéj żyje, w niéj szuka zadowolnienia dla ambitnych swych celów i w niéj się po prostu cały spożera. Dla Mazeppy za mały jest otaczający go świat honorów, władzy, zwierzchnictwa, rozkoszy i miłości, on z własną walczy istotą, i w temto przebija szczyt nieskończonéj ufności człowieka ku sobie samemu, ku swemu wewnętrznemu przekonaniu.

Czasem wprawdzie budzi się w duszy Mazeppy zwątpienie; zachwiewa się chwilowo, ale tem bardziéj jakby przez nowe oddziaływanie wzmaga się ów popęd szalonéj woli, podnieca i skupia się w sobie, by nie uledz zwątpieniu, by się nie poddać głosowi nawrócenia, by je przytłumić, przygłuszyć. *Mazeppa* Gotschalla i *Ryszard* III Szekspira, to prawie te same postacie: wiedzą o sobie, że w ambitnych swych celach są demonami uporu, wiedzą że ich natura upośledziła i postać w obec ludzi potworną uczyniła, wiedzą o tem... a jednak nie chcąc zamiarów swoich poświęcić naprózno, wolą upaść pod sobą, wolą spalić się żarem wnętrza, jak z bohaterów zostać... karłami.

Zestrój woli i siły nie może genialniéj być wyobrazowanym.

Kompozycja rozkwita tu w całem bogactwie swojem.

Celem moralnym trajedji Gotschalla jest wyrażenie słabości i niedołężności świata zewnętrznego w obec potęgi i woli człowieka. W trajedji téj urzeczywistnia się zarazem straszliwy wyrok sądu Bożego na ludziach bezwzględnéj woli, ale i tu kara niebios podnosi bohatera w tedy nawet, gdy go roztrąca: upadek Mazeppy, acz straszny i konieczny, jest szczytem siły i godności.

Taki jest charakter trajedji Gotschalla. Poeta wzniósł się nad samą namiętność bohatera swego, i w bujnym polocie nie zatrzymuje się aż na szczycie przeznaczenia i wyroków Bożych, stojących zawsze i wszędzie na straży owéj wiekuistéj prawdy, że i najpotężniejsze moce ducha ludzkiego, rozbić się muszą o twarde prawo przeznaczenia.

W artystycznym układzie *Mazeppy* widać mistrza-poetę. Węzeł dramatyczny genialnie nawiązany, ale genialniéj stokroć rozwiązany. Poeta nieustaje w biegu, myśl przewodnia nurtuje bezustannie. Charaktery osób na scenę wprowadzonych wiernie nakreślone: żadna z nich nie schodzi i na chwilę z zakreślonéj sfery.

Język ma barwę, właściwą przewodniéj myśli: poeta kształtuje mowę stosownie do rozmaitych poruszeń charakterów. Promienny blask dopełnia tego, czego prostota wyrazów ogarnąć nie może. Styl wyrazisty bujny i wzniosły, pyszniący strojem aż do zbytku a do ozdoby jego dołącza poeta wszystko, cokolwiek zdolne jest nadać mowie potrzebną siłę, powagę i godność, co ją może ożywić, zapalić, upotężnić.

August Jeske.

Kronika literacka.

Młoda nauczycielka. *Dziełko poświęcone zakładom wychowania płci żeńskiéj przez Antoninę Machczyńską. Poznań, nakładem L. Merzbacha 1863. (w Warszawie w księgarni Okońskiego).*

Niemasz nic złudniejszego jak sądzić o ludziach z ich powierzchowności, o rzeczach z pierwszego spojrzenia, o książkach z kilku słów tytułu... Myśl ta nasu-

nęła nam się mimo woli po przeczytaniu niniejszéj książki. Ileżto nieraz świetnych i ponętnych tytułów zwabia nas ku sobie, a ileż potem doznajemy zawodów. Zwykle też dla skromnych tytułów pomijamy najcenniejsze objawy ducha i myśli. Nie sądzimy, iżby dziełko powyższe nie znalazło dotąd należnego uznania i nie wydało już bogatego plonu dla młodéj płci żeńskiéj. Co do nas, uważamy za stosowne podnieść i dziś jeszcze ważność téj książki i podzielić się kilku myślami, które zasłużonéj autorce posłużyły za tło i wątek pracy, a które i nam zarazem uprzytomnią ważność, najżywotniejszéj kwestji społecznéj, wychowania.

Autorka zawarła w *Młodéj nauczycielce* zarys całego zakresu pracy, od pierwszéj prywatéj praktyki, aż do rozwinięcia obszernego zakładu panien, mającego zostać wzorem i kierunkiem wychowania kobiet.

Kto zna objętość téj książki, zapyta może mimowolnie, jak można na stu zaledwie stronnicach rozmieścić prawidła *całego zakresu wychowania?* Ileżto (doda ktoś inny) łamało się dobrych i zdatnych chęci o roztrzygnięcie kwestji wychowania kobiet, ileż nie zapisano dzieł i rozpraw: niemasz dziesiątka lat, w którymby nie podnoszono téj sprawy i nie poruczono jéj ludziom światłego doświadczenia. Mogłoby się więc zdawać, że zadanie wychowania kobiet, w jednym tomie, a tem mniéj na stu stronnicach przemierzyć się nieda. Prawda, w innych gruntownych, znakomitych mistrzach pedagogiki znajdą się dokładniejsze nauki, lepsze wyrozumowanie, wyborniejszy układ, ale jakżeż tam daleko do owéj przekonywającéj prawdy i chęci, jaką autorka od początku do końca ożywioną była.

O ścisłéj wprawdzie metodzie lub teoretycznem rozprowadzeniu planu mowy być nie może, nasamprzód dla szczupłego zakresu samego dziełka, a potem dla wewnętrznego układu, obmyślanego wyłącznie dla tych, co nie mogąc poświęcić się dłuższym studjom nad zbadaniem sposobów wychowania, wolą raczéj na takich jedynie polegać dziełach, w których obok nauki zaczerpniętéj z najlepszych prac tego rodzaju, znajdą wskazówki i wzory, oparte na doświadczeniu i doprowadzające krótszą drogą do celu. Owoż: brak ścisłego planu, drobiazgowe wnikanie w osobisty stosunek nauczycielki do uczennicy, oraz częste obrazowanie myśli, liczne przykłady przerywające poniekąd wątek pracy, są to raczéj zalety, a nie wady tego dziełka: zwykle głębokie rozumowanie zraża młode nauczycielki, a umysł ich, przygnieciony mnogością i niejawnością zasad pedagogiki, zniechęca się na zawsze do pracy i sumiennego przestrzegania obowiązków. Prac tego rodzaju, tak bogatych w doświadczenie i szczęśliwych w obmyślaniu najdrobniejszych szczegółów, nie mamy zanadto. Wiadomo jak trudnem jest zadosyćuczynić wielostronnym wymaganiom początkowego wychowania, i o ileż trudniejszem jest *umieć* podać zdrowe zasady, na któreby się zgodzono jednogłośnie lub z którychby przynajmniéj drobna cząsteczka przeszła w życie i zastósowanie. Autorka *Młodéj nauczycielki* wywiązała się chlubnie i godnie z zadania, przekazując nam skarbczyk, pełen nauki, serca i prostoty. Autorka przebiega całą winę powołania młodych nauczycielek i widać ją wszędzie z pochodnią szczeréj prawdy, z miłością w sercu dla młodego pokolenia, z poświęceniem dla wszystkich, z prawem poczuciem obowiązków, z jasnem licem zadowolnienia, z gorącą chęcią utorowania drogi do zdrowych pojęć o celu i sposobach wychowania.

„Świętem jest każde ludzkie powołanie (powiada autorka), gdy jego celem użyteczność, a końcem zasługa; ponad wszystkiem jednak góruje powołanie nauczycielskie, któremu Chrystus własnéj używał korony. Bóg jest mistrzem światów, mędrzec jest mistrzem narodu, kobieta mistrzem w rodzinie, każdy pojedynczy człowiek niesie swój przykład dla ogólnéj nauki. Wszyscy się uczą, wszyscy nauczają. Cały świat, jest szkołą, każdy odgłos życia jest mistrzem, lecz oprócz tego jedna szczególna kasta nauczycieli, wybranych, poświęconych, powołanych, namaszczonych, jak zakonni rycerze, jak kapłani. W ich ręce złożone są iskry wiary, moralności, światła; do nich należy dmuchać w te iskry i zakładać z nich ognie w niewinnych sercach młodzieży na ofiarę Bogu, jak się zakłada światło w srebrną lampę przed obraz Boga Rodzicy. Co oni zasieją, to odległe zbiorą pokolenia, wpływ ich na daleką rozlewa się przyszłość, dzieci dzieci naszych błogosławić będą ich pracę, jak my błogosławimy trudy przodków, używając cienia pod drzewem, ich ręką sadzonem.“

Trudno doprawdy podnieść wyżéj i godniéj na maszczenie młodych nauczycielek, trudno wymowniéj zachęcić do pracy. W ogóle, całe to dziełko jest postacią pełną uroku i prostoty. Młode nauczycielki znajdą tam obszerną niwę cnoty i zasługi, znajdą nagrodę widniejącą zdaleka. Książki téj niepodobna czytać bez tkliwego wzruszenia: nie jestto mądrość ust sędziwych, ale jestto nauka z duszy i serca płynąca, to świeże wonne dary dla chętnéj młodzi, to księga namaszczenia nauczycielskiego dla tych, co z ofiarą szczęścia własnego pragną ulżyć i pomagać młodemu pokoleniu.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Gdybym mógł opisać wszystkie szprynce i podskoki, jakie wyprawiają po ulicach Warszawy, akwilony, zefiry, i burzliwe wietrzyki, dałbym obraz dosyć zabawny i zajmujący. Pył bowiem w gęstych kłębach, zdarty z bruku świeżo ułożonego, pomięszany z drobniutkim żwirem, kręcąc się, wijąc, pędzi ulicą jak wiotka tanecznica, zataczając coraz większe koło i piętrzące się coraz wyżéj i wyżéj. Nieszczęśliwi

(Dodatek).

przechodnie zasłaniają oczy, zatykają usta, wykręcają się szukając ochrony, spadają kapelusze, wydymają suknie, łamią parasoliki, i kiedy zdaje się że już mija wszystko, nagle z przeciwnéj strony, nowa nadchodzi krętanina pyłu, ze spotkaną ściera się, łamie, łączy i z zabraną pędzi w ulicę z większą siłą i z podwojonym zasobem zwirkowatych zapasów.

Naturalnie wszystko co żyje, zmienia nagle front, przychyla się, przychajcza, chowa głowy ledwo że nie do kieszeni, a wicher pędzi dla zabawki przewracając słabszych w nogach, a dla mściwéj radości miotając krynolinami jak gałązkami młodéj wierzbiny. Ocalony wśród ogólnego zamieszania, przecierasz oczy, oczyszczasz usta, poprawiasz kapelusz... w tem pędzi powóz za powozem, a za nim wiją się obłoki kurzu i otaczają niby mgłą biednych pieszaków skazanych na nowe pylaste tortury, kto więc chce teraz w przechadzce po mieście zabezpieczyć oczy i płuca od szkody, musi mimowoli zatkać usta, oczy osłonić okularami i stać się dandysem pierwszéj klassy, nieporzucającym szkiełek nawet przy sokolim wzroku.

Ale nie na tem koniec.

Siedzisz w domu spokojny, zadowolony, że borukaniu ludzkiemu z tumanami kurzu możesz wygodnie przypatrywać się przez okna szczelnie zamknięte. Pył jednak ciekawszy od wszystkich największych ciekawości, skrycie, cicho, potulnie wchodzi w każdą najmniejszą szczelinkę, zagląda w każdą szpareczkę, przeciska się przez dziureczki mniejsze od ukłucia szpilki, i wolno, nieznacznie korzystając z każdego poruszenia powietrza, choćby najlżejszego nawet niedostrzeżonego, osiada w cieniutkich warstewkach, na całym porządku domowym, wchodzi do komód, szaf, szuflad, czepia się obrazów, ścian, sufitu i w niewidomych półeczkach karmi mieszkańców strawą, przynoszącą w zysku kaszle, katary i nieznośne zapalenia oczów. Gosposie krzątają się, czyszczą, ocierają... ale wszystko na próżno, i gość nieproszony we dwie godziny najdaléj znowu rozsiada się z największą wygodą, pewny że raz już zegnany, nie prędko zostanie wyruszony z miejsca. Takie to przyjemności ma Warszawa z letniéj pory i z brukarzy, wykręcających się piaskiem z fuszerskiéj roboty.

Na szczęście szczególnym trafem, zabawa muzykalno loteryjna w Saskim ogrodzie, odbyła się wśród najpiękniejszéj ciszy i miłego niezmiernie stanu powietrza. Gdyby nie to, gdyby nie obfite zlanie wodą dróg ogrodowych, z pewnością pobyt długi byłby niepodobny. Dzięki bowiem błagalnemu memu głosowi za podniesieniem sukien nad poziom ziemi choćby na jeden paluszek, wszystkie panie z małym nader wyjątkiem, w świeżych, ładnych i nowych wystąpiwszy strojach, uważały za właściwe nadać im jak największą powłóczystość. To też przechadzka była tak trudną, przydeptywanie sukien tak nieuniknione, że posuwano się jak żółwie przy wyścigach, a wyrywano bryty jak z urzędu. Dziwna to manja, ale dziwniejsze, że która z elegantek Warszawskich nie wystąpiła jeszcze ze średniowiecznym paziem.

Co do saméj zabawy, tłoku było po uszy, popychania za uszy, a muzyki w uszach co tylko się zmieściło. Przy namiotach warczały koła z losami, odbierano fanty, żartowano, uśmiechano i... chmurzono gdy komu los wypadł niefortunnie. Przy zaimprowizowanych cukierniach zajadano i zapijano z wielkim smakiem i... z przygryzaniem ust, gdy komuś niespodzianie wypadło za porcją lodów zapłacić kilkorublowym papierkiem. Przy namiotach z sodową wodą, przypomnienia o ubogich, przyjmowano z wielką czułością a z westchnieniem składano oddzielne datki miłosierdzia. Słowem gdzieś się obrócił, wszędzie pracowano z dziwną energją i przytomnością na powiększenie dochodu Towarzystwa Dobroczynności, tak że rad nie rad, musiałeś jakąś ofiarą przyjść w pomoc nader szczupłym jego funduszom.

Jeżeli to prawda, co mi tu jeden żółciowego usposobienia powiadał, że we wszystkich zebraniach Warszawskich, ścisk osób jest miarą zabawy, i gdzie więcéj się gniotą, duszą aż do zemdlenia, gdzie więcéj czują boki i plecy od popychań, a nogi od nadeptań, tam zabawa jest lepsza i wyborniejsza, otóż jeżeli to prawda, to zebranie w ogrodzie Saskim na nudy skarżyć się nie może. Chodzono bowiem tuż przy sobie, ramię przy ramieniu, krok w krok jeden za drugim i to nie tam gdzie chciano, tylko gdzie wypchano. Że zaś tłum posuwał się i w tył i naprzód, co krok następowało starcie, zatrzymano się, wymijano, obracano bokiem, i po pięć sekund potem, powtarzano to samo, tylko z nowemi wykrętasami, albo warjantami, wyrażając się z większą elegancją.

Pomimo jednak bardzo ładnego zebrania, zabawa nie była w najwyższym punkcie swéj potęgi, bo nikogo nie wyniesiono omdlałego, ani uszkodzonego na żebrach lub klatce piersiowéj. Przez przydeptywanie wprawdzie, wiele sukien wyszło w bardziéj jeszcze przedłużonéj powłóczystości, ale o szwankujących na zdrowiu nie słyszałem.

Co do strojów panienki tak były postrojone leciuchno i bieluchno iż ciągle się zdawało że jak ptaszki ulecą w górę. Osoby cokolwiek starsze pyszniły się jedwabiami, mężczyzni kłębami dymu cygarowego, biły przytem wodotryski, a sztuczną dolinę otworzono na ten dzień jeden, aby raz przecie arcy-ciekawskich umierających z ciekawości, zaspokoić.

Wianki w wilją zabawy ogrodowéj odbyte, nie dadzą się nawet porównać z zebraniem muzykalno-fantowem. Kilkaset osób zaległo przybrzeże i przyczółek mostowy; po wodzie uwijało się trzy czółna łapiące wianki skąpo niezmiernie rzucane: o jakie pięćset kroków stały tratwy pobłyskując ogniskami kuchni orylów, a daléj migotał płomień jakby z powierzchni Wisły wychodzący. Był to podobno wianek olbrzymi stolarskiego cechu, z umyślnie roznieconym ogniem i przypadkiem na jakiejś przeszkodzie Wiślanéj zatrzymany. Przy obu końcach mostu brzmiały dwie muzyki, mięszając się z trajkotem i hurgotem wozów i powozów.

Do najliczniejszych jednak zebrań należą procesje Bożego Ciała, codzień w innéj części miasta odbywane, na których wiele jest pobożności, ale nie brak i ziemskości zupełnie nie pasujących ze świętym obrzędem.

W dolinie Szwajcarskiéj, bywa także rojno, szczególniéj w dnie świąteczne, a huczno przy lada poleczce lub walczyku.

W Botanicznym za to ogrodzie prawie pustki, ale puściéj w tece sprawozdawczéj, w któréj już najmniejszego nie znajduję szpargałka.

DWIE.

Było ich dwie, niby siostrzyczki rodzone,
Niby dwie róże wonne i krasne,
Niby gwiazdeczki świecące, jasne,
Z nieba na ziemię zniesione.

Razem wyrosły dziewczyny jak słonka,
Wśród łąk kwiecistych i brzozowych gajów,
Słuchając piosnki rannego skowronka,
Szumu kaliny i szmeru ruczajów.

Tylko że jedna w malowanym dworze,
Strojona w złoto i jedwabne szaty,
Drogo w wieśniaczéj chowana komorze,
Za strój świąteczny, polne miała kwiaty.

Jednę uczono pieszczonemi dźwięki
Zgadzać piosenkę z sztucznem brzmieniem tonów,
Drugiéj sierp ostry włożony do ręki,
I z pieśnią gnano, do żniwnych zagonów.

Jedna wśród zabaw i tkliwéj pieszczoty,
Rosła jak ptaszek figlarny, swawolny,
Druga, przy skwarach słonecznéj spiekoty,
Kraśniała życiem, niby maczek polny.

I tak los nawet, urządził, w podziele,
Dla pierwszéj radość, złoto i wesele,
Dla drugiéj praca, trudy i cierpienie,
I dumka łzawa czasem w pocieszenie.

Wszystko się niby ku temu składało,
Dziewcze we dworze nęciło wdziękami,
A dla wieśniaczki z pracą i dumkami,
Coraz to więcéj smutków przybywało.

Coraz to nowy cios w chatę uderzy,
Ojciec dwa lata jak ziemią zasuty,
Matka schorzała dawno w łóżku leży,
Brata jesienią wpisano w rekruty.

A nadto jeszcze grad omłócił zboże,
Zgniły kartofle, ot i w chacie bieda
Przyszedł pomorek, oj Boże mój Boże!
Już też dziewczyna rady sobie nie da.

I zapłakała biednaż moja dola!
Lecz łzy fartuchem ociera na stronie,
Dobry mój Boże, dziéj się Twoja wola,
Tu niema czasu załamywać dłonie.

Któż zgadnie rano, co będzie z wieczora?
Wszak jasne słońce nieraz chmura mroczy,
Nadeszła chwila, dziewczyna ze dwora,
Z kolei czarne wypłakała oczy,

Wnet łzy zaćmiły szczęście i swobodę.
Niestało sercu siły na pociechę,
A wiatr przeciwny odwrócił pogodę,
I zajrzał słonkiem pod wieśniaczą strzechę.

Szłyszycie dzwony wiejskiego kościoła,
Veni Creator zagrzmiały organy,
Dziewczyna wije wianeczek ruciany,
Który jéj matka przypina do czoła.

Przetrwała burze, nędze, i rozpacze,
Pracą, modlitwą, zwalczyła niedolę,
Zniezłomną duszą, ot dziecię wieśniacze,
Zahartowane na troski i dole.

I znowu dzwony, znów jęczą organy,
Trumna na środku, i księża ze spiewem,
A w trumnie widzisz, kwiateczek złamany.
Jesiennych wichrów chłodniejszym powiewem.

Uschła różyczka, uschła, jaka szkoda!
Obcéj cierpieniom nagle zbrakło siły,
I toż najpierwsza w życiu niepogoda,
Prosto od szczęścia pchnęła do mogiły.

Cóż to dziwnego? tak się dzieje w świecie,
Wiejska dziewczyna ciężki krzyż poniesie,
Ale to pańskie wypieszczone dziecię,
Za lada chmurką opada i gnie się.

Było ich dwie, mój Boże! dwie...
Jedna wśród łez, kwitnie ze swemi.
U drugiéj pierwsza łza życie rwie,
I kończy sen złoty na ziemi.

Regina.

O UBIORACH

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 22 Czerwca 1865 r.

Moda letnia ustala się właściwie od Czerwca tak co do kapeluszy, jak niemniéj do sukien i okrywek; późniéj dają się tylko spostrzegać niejakie fantastyczne w niéj odmiany. Co do kapeluszy naprzykład uważaliśmy wiele napół słomkowych a na pół krepowych lub tiulowych. Brzeg ronda szeroki na trzy palce bywa ze słomy plecionéj szeroko, takiż sam pas daje się nad warkoczem w miejscu karczku, pomiędzy temi dwoma pasami, idzie namarszczona krepa w kolorze fi-

jołkowym lub szafirowym. Szarfy do wiązania powinny być tego, jak krepa koloru. Nad czołem podpięcie stanowi bandeletka z takiejże wstążki, szeroka na dwa palce, naszyta raz koło razu drobnemi kwiatkami. Czasem także naszywają rząd kwiatków, w miejsce gdzie pasy słomy łączą się z krepą. Widzieliśmy takież kapelusze włosianne w różnych odcieniach, ze środkiem z tiulu jedwabnego, białego lub czarnego, w drobne muszki nalepiane słomą. Do tych za podpięcie, służą kłosy mięszane z kwiatkami, naszyte płasko na wstążeczce lub aksamitce.

Zamiast maleńkich woalików, ukazują się długie na łokieć, białe illuzjowe, lub gazowe w kolorze stosownym do kapelusza.

Suknie do wyjścia na ulicę, najwięcéj używane z gęstego bareżu *lenos*, lub alpagi, na takiejże saméj spódniczce, z krótkim paletocikiem. Noszą je zwykle w kolorze popielatym albo niewarowym. Spódniczkę zakończa wązki na dwa lub trzy palce wolancik, objęty czarną wstążeczką. Suknia ma u dołu na każdym brycie dwie klapki jedna nad drugą, z tego samego materjału, obłożone wstążeczką; na niższéj klapie, naszyte są trzy guziki, na wyższéj obdziergana dziurka. Klapki te spinając się, podnoszą suknię w festony.

Paltocik przybrany stosownie na szwach, zwróconemi w górę klapkami; każda klapa ścięta w ząb przytwierdzona guzikiem.

Staniki z baskiną utrzymują się ciągle, niekiedy baskina przypasaną szerokim pasem jedwabnym lub skórzanym, spiętym na szeroką klamrę. Do innych sukien zamiast stanika, robią paletocik czyli kaftanik zupełnie przystający do figury.

Z pomiędzy strojniejszych nieco sukien widzieliśmy białą fularową w fijoletowe muszki wielkości pięciogroszówki. U dołu nie było żadnego garnirunku, tylko szeroka napółtory ćwierci listwa przystębnowana w górze dwa razy fijołkowym jedwabiem. Paletocik także nie miał żadnego garnirunku, prócz obrąbka na dwa palce, przystębnowanego odpowiednio, przód spinał się na rząd fijołkowych szmuklerskich guzików. Rękawy ostębnowane u ręki, przybrane były trzema guzikami wzdłuż zszycia.

Inna suknia fularowa, *chamois* w czarne muszki, miała u dołu fałdowany wolancik szeroki blisko na ćwierć łokcia, zakończony u dołu, obrębem czarno przystębnowanym; fałdki dawane były w odstępach, na każdym przyszyty czarny guzik. Paletocik przybrany był odpowiednio węższym cokolwiek wolancikiem i mniejszemi guzikami.

Zwróciła także uwagę naszą, suknia lekka jedwabna, w drobne paski do cieniu koloru orzechowego. U dołu spódnicy nad obrębem, szła także sama ukośna pliska, wązka na dwa cale, objęta ciemną wypustką po obu brzegach. Stanik gładki, spięty na ciemne szmuklerskie guziki, miał z tyłu i z przodu baskiną złożone z klap, obłożonych w koło pliską. Klapy te z tyłu, przytwierdzone były w stanie guzikami. Na ramionach szła takaż sama pliska, długa na ćwierć łokcia zakończona z obu stron guzikiem. Rękaw u ręki, przybrany był odpowiednio.

Na chłodne poranki i wieczory, wiele widać, paletocików korcikowych *chiné*, białych lub popielatych w czarny marmurek, przybranych sznurem czarnym, i takiemiż szmuklerskiemi guzikami. Paletociki te często rozcięte bywają w tyle aż do stanu. Widać także wieczorami paletociki z lekkiéj flanelki w paski, rozcięte z tyłu, z płaskim kapturkiem, który można zarzucić na głowę. Zowią paletociki te *angielskiemi*.

W dnie gorące noszą czarne rotondy z koronki Cambray albo lamy; noszą także popielate Beduiny z gęstego bareżu, przybrane w rogach i na kapturze, kwastami z wełny angora.

Do ubrania głowy najmodniejsze bandeletki, czyli potrójna opaska z ruloników aksamitnych, skupionych razem nad uchem. Z tyłu idą długie wstążki do wiązania, zwykle szerokie na dwa palce. Niektóre bandeletki naszyte są gwiazdeczkami ze słomy. Zalecamy bardzo bandeletki, gdyż utrzymują włosy wporządku. Koki czyto gładkie, czy plecione, pokryte bywają zawsze niewidzialną siateczką.

Wspomniemy jeszcze o kilku ślubnych sukniach, które nam się zdarzyło widzieć w tych czasach. W ogólności ślubne suknie Paryżanek odznaczają się prostotą i powagą. W prawdzie jeżeli majątek panny młodéj pozwala na to, suknia ślubna bywa kosztowna, pokryta drogiemi koronkami, ale pomimo rzeczywistéj wartości ma zawsze pozór prosty, i niewymuszony.

Najstrojniejsza z sukien jakieśmy w tych dniach widzieli, była biała *poult de soie*, wygarnirowana u dołu trzema ruszami z takiejże materji, strzyżonemi w ząbki w maszynie. Stanik wycięty do paska, przybrany był bertą fałdowaną, zwężoną na ramionach, rozszerzoną w formie chusteczki na piersiach i na plecach. Berta tą wygarnirowana była blondyną szeroką na trzy palce, nad blondyną szła wązka ruszka *poult de soie*. Rękawki krótkie, złożone z fałdowanych bufek, ujęte były w ruszkę, z pod któréj spadała blondyna. Szeroka szarfa przewiązana w tyle, zakończona u dołu w ząb, odpowiedni miała garnirunek.

Wielki welon illuzjowy pokrywał całą głowę, pod nim upięte były w równych odstępach trzy *bandeletki* greckie, czyli płaskie girlandki, z kwiatu pomarańczowego bez liści.

Drugie ubranie ślubne skromniejsze od poprzedniego, złożone było z sukni tarlatanowéj białéj, z trzema ruszami u dołu. Rusza najniżéj położona była najszersza, dwie inne zwężały się stopniowo. Stanik miał fałdowaną bertę, ogarnirowaną takąż ruszą. Wstążka szeroka, przewiązana z boku na kokardę ze spadającemi końcami, dopełniała ubrania. Włosy przystrojone były trzema bukiecikami z kwiatu pomarańczowego i mirtu, rozrzuconemi zręcznie. Na wierzch spadał welon illuzjowy.

Trzecie ubranie ślubne młodéj wdowy, składało się z sukni białéj fularowéj, w bardzo dobrym gatunku. Spódniczka długa i powłóczysta, nie miała garnirunku u dołu, tylko zakończona była białą torsadką szmuklerską. Stanik pod szyję, spięty na białe szmuklerskie guziki, miał niewielką baskinę rozdzieloną na pięć części, objętą stosownie torsadą. Rękawy wązkie ścięte do łokcia, przybrane były odpowiednio u ręki i na ramieniu. Za okrywkę służyła wielka rotonda z koronki wełnianéj zwanéj *Yack* kapelusik z tiulu jedwabnego przybrany marabutami, podpięty białym powojem dopełniał ubrania.

Uważaliśmy także ranne ubranie na dzień ślubu, odznaczające się gustem i świeżością. Była to spódniczka biała muślinowa z wolantem, wyszywanym

w deseń, wąziutkiemi paskami z ukośnego muszlinu, przystębnowanemi z obu stron w maszynie. Nad wolantem szedł odpowiedni deseń. Stosowny kaftanik Grecki na takiejże saméj koszulce, zastępował miejsce stanika.

Kapelusze letnie nie podpinają jak dawniéj bukiecikami kwiatów, lecz dają nad czołem jednę lub dwie bandeletki, czyli płaskie girlandki, złożone z drobnych kwiatków, naszytych jeden koło drugiego na wstążeczce lub ruloniku. Takież bandeletki, naszywają niekiedy piórkami pawi lub innych ptaków.

Moda szalików wraca nakoniec po długim zarzuceniu. Widzieliśmy suknie jedwabne z takiemiż samemi szalikami, przybranemi wodą *à la vieille*. Czarne koronkowe szaliki, garnirują ruszą lub wolancikiem z koronki. Niektóre z nich mają końce w ząb.

Młode panienki, a nawet i młode mężatki przepasują głowę wstążeczką pąsową lub niebieską *(bleu mexique)*, dwa albo trzy razy według upodobania. Nioby odwracają się zwykle na wstążkę. Kokardka z boku ze spadającemi końcami, dopełnia tego świeżego ubrania. Widziemy też u wielu panienek, takąż wstążeczkę, w około szyi, przewiązaną w tyle, z długiemi spadającemi na plecy końcami.

Przytaczamy nakoniec ładne ubranie młodéj panienki, któreśmy uważali na przechadzce, w ogrodzie Luxemburgskim:

Suknia z *lenosu* szarego *écru*. U dołu dwie wązkie falbaneczki, zakończone sznureczkiem niebieskim *(bleu mexique)*, nad niemi naszyta gładko wstążka niebieska na dwa palce. Nad tem znów dwie falbaneczki, w górze także wstążka. Za okrywkę, szalik z takiego samego *lenosu*, z końcami ściętemi w ząb, przybrany dwoma falbaneczkami i wstążką. Kapelusik słomkowy, podpięty dwoma bandeletkami, z niezapominajek. Szarfy u kapelusza niebieskie. Parasolik szary, podszyty niebieską marseliną. Buciki szare dryliszkowe. Rękawiczki Duńskie.

Opis ryciny

Figura 1. Suknia mantynowa czarna u dołu wolant fałdowany szerokości ćwierć łokcia. Na wolancie pomiędzy fałdami klapki aksamitne objęte popielatą materją zakończone popielatym kwaścikiem. Nad tem szachownica ułożona z czarnéj aksamitki, i wstążki popielatéj. Na zszyciu brytów, wpuszczony słup z aksamitu czarnego, otoczony szachownicą. Stanik pod szyję spięty na popielate oksydowane guziki. Rękawy obcisłe. W koło pachy wstążka popielata z czarną aksamitką w szachownicę, z takąż klapką wypuszczoną na środek rękawa. Mankiet takiż sam, odwrócony przez środek w górę. Fanszonik z tiulu jedwabnego, przybrany nad czołem fijołkami. Szarfy fijołkowe, ogarnirowane wązką wstążeczką.

Figura 2. Suknia z gładkiéj materji jedwabnéj przedłużona z tyłu. Stanik pod szyję okrągły, spięty na czarne guziki, przepasany wstążką, od któréj trzy szarfy spadają na tył sukni. Szarfy zakończone frendzlą, z przodu rozeta ze wstążki. W koło pachy plisa czarna, na wierzch rękawa spadają trzy pukielki, ze wstążki czarnéj, z pod każdego pukielka, wychodzi koniec z frendzelką. Ubranie głowy z pereł lawowych, i fijołkowego powoju.

KORRESPONDENCJA.

Pani Lucynie Popow: Siatka i fanszonik koronkowy kosztować będą złp. 60 z przesyłką pocztową.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.